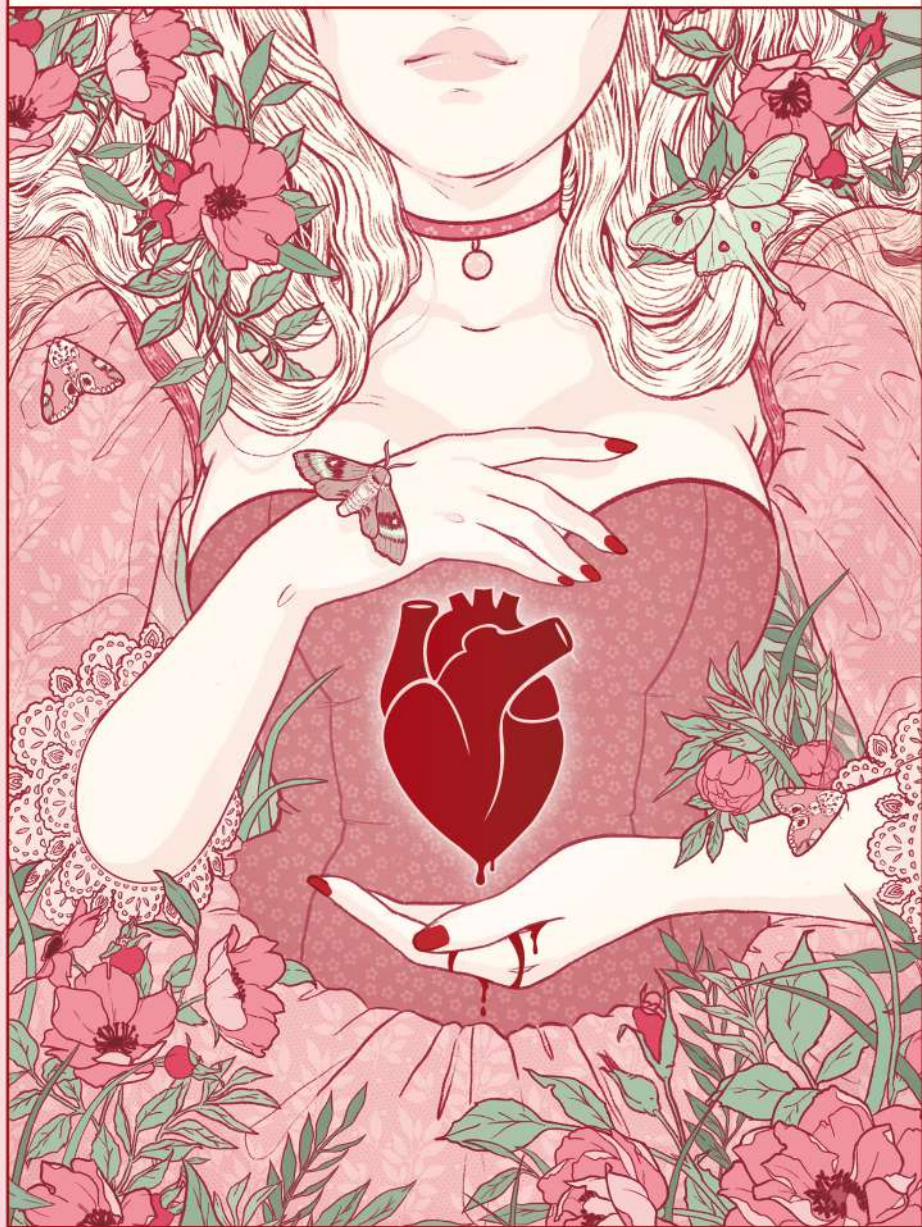


EDYTA PRUSINOWSKA



KREW, KTÓRA NAS DZIELI

moondrive

KREW,
KTÓRA NAS
DZIELI

EDYTA
PRUSINOWSKA



KREW,
KTÓRA NAS
DZIELI

moondrive
KRAKÓW 2023

Wydawca nie odpowiada za informacje medyczne podane w powieści.
W przypadku problemów zdrowotnych skonsultuj się z lekarzem.

Copyright © by Edyta Prusinowska

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Wydawca prowadzący: Natalia Karolak

Redakcja tekstu: Natalia Karolak

Konsultacja biologiczna: Karol Momot

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Promocja i marketing: Magdalena Wojtanowska

Projekt okładki i ozdóbki we wnętrzu książki: Agnieszka Gontarz

Ilustracje użyte na okładce, w winietach i na brzegu książki
oraz portret autorki: Paulina Foryś, @mauve_potion

Grafika (serce) użyta na okładce i w winietach: Arcady / Shutterstock

ISBN 978-83-8135-344-1 (oprawa broszurowa)

ISBN 978-83-8135-355-7 (oprawa twarda)

Autorka korzystała z: L. Carroll, *Przygody Alicji w Krainie Czarów*,
tłum. M. Słomczyński, Warszawa 2001

moondrive
www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

- Ale ja nie chcę przebywać pośród szalonych -
zauważyła Alicja.

- Och, temu nie zaradzisz - powiedział Kot -
wszyscy jesteśmy tutaj szaleni. Ja jestem szalony.
Ty jesteś szalona.

- Skąd wiesz, że jestem szalona? - zapytała Alicja.

- Na pewno jesteś - powiedział Kot - inaczej nie
znalazłabyś się tutaj.

L. Carroll, *Przygody Alicji w Krainie Czarów*



PROLOG

Requiem na dwa głosy

To mnie kiedyś zabije, powtarzałam, gdy moja ręka zaczęła wrywać się w stronę dziennika. To mnie kiedyś zabije, powtarzałam, powoli przesuwając opuszkami po strukturze grubego materiału. To mnie kiedyś zabije – pewnym ruchem ręki otworzyłam dziennik na pierwszej stronie. To mnie kiedyś...



Nadzieja – że mimo wszystko uda nam się znów siebie odnaleźć – była ulotna i choć starałem się ją w sobie pielęgnować, w końcu zaczęła powoli znikać.



Od teraz wszystko się zmieni

DAKOTA

Obudziłam się z pulsującym bólem głowy. Poprzedniej nocy prawie nic nie jadłam i zasnęłam dopiero o czwartej nad ranem. Wszystko dlatego, że dziś był 1 września – data ta oznaczała nie tylko początek roku szkolnego, ale też moje urodziny. O ile to pierwsze wydarzenie byłam w stanie znieść, o tyle tego drugiego szczerze nienawidziłam.

Nie zrozumcie mnie źle. To nie tak, że nie lubiłam się starzeć, co według magazynów w rodzaju „Cosmopolitan”, „Vogue” czy „Elle” budziło w kobietach (a byłam przecież kobietą) powszechną grozę. Jako przyszła studentka medycyny dobrze wiedziałam, że starzenie się jest naturalnym procesem wszystkiego, co kiedykolwiek istniało na naszej planecie, i samo w sobie nie stanowiło dla mnie żadnego problemu.

Mój problem z urodzinami wiązał się głównie z tym, że przypominały mi, że mijał kolejny rok, w którym wciąż mieszkalam w jednopokojowym mieszkaniu z mamą, która wciąż była chora i wciąż nie miała pracy, przez co wciąż nie miałyśmy nic oprócz setek długów na koncie i takiej samej

liczby listów od rozmaitych banków, które domagały się natychmiastowej spłaty.

Swoją drogą, od zawsze śmieszyły mnie te wysłane przez nie poważne listy, który zaczynały się zwykle od: „Szanowna pani Winter, zwracamy się z uprzejmą prośbą o uregulowanie zaległości...”. Któregoś dnia nawet wzięłam długopis i odpisałam na jeden z nich: „Z całym szacunkiem, wsadźcie sobie tę uprzejmość w cztery litery. Jeśli nie przysłecie tu komornika, nie dostaniecie z powrotem swoich pieniędzy”. Zabrakło mi jednak odwagi i pieniędzy na znaczek, żeby to wysłać.

Spojrzałam na zegarek. Zbliżała się siódma, więc musiałam w końcu wstać z łóżka. Poszłam do toalety, przemyłam twarz i ułożyłam niesforne włosy. Włożyłam mundurek, wyszłam bezpośrednio do kuchni, gdzie na materacu rozłożonym pomiędzy lodówką a kuchenką spała moja mama, i starając się jej nie obudzić, zaczęłam przygotowywać po cichu śniadanie.

Wyjęłam bulkę, przekroiłam ją na pół i położyłam plaster żółtego serca. Potem powtórzyłam tę czynność jeszcze raz i jeszcze raz, żeby mieć pewność, że gdy mama się obudzi, będzie miała co jeść do czasu, aż wróć ze szkoły. Wyrobiłam sobie nawyk robienia podwójnych śniadań, obiadów czy kolacji od kilku lat. Wcześniej był moim sposobem na upewnienie się, że mama odpowiednio się odżywia i będzie miała siłę chodzić na rozmowy o pracę. Później, gdy stałam się starsza i mądrzejsza, zrozumiałam, że niezależnie od tego, czy gotuję, czy nie, mama prędko nie wróci do pracy. Rutyna zdążyła mi jednak wejść w krew, a i mama na nią nie narzekała, więc tak już zostało.

– Co robisz? – zaspany głos mamy rozległ się w kuchni.

– Śniadanie – odpowiedziałam. – Możesz spać dalej.

Mama jednak nie posłuchała mojej rady i usiadła na materacu, opierając plecy o szafkę kuchenną. Nie miała na sobie

piżamy, zasnęła w dżinsach i koszulce z wczoraj. Skarciłam się w głowie za to, że ją obudziłam. Zwykle, gdy budziła się za wcześnie, czyli przed dziesiątą, po południu stawała się nie do zniesienia.

- Miałam wspaniały sen - powiedziała z uśmiechem na twarzy. - Chcesz usłyszeć o czym?

Pokiwałam głową, choć już domyślałam się, co to był za sen.

- Tata jeszcze w nim żył i kupił nam wielki dom nad jeziorem. Miał więcej pokoi, niż dałoby się policzyć, dlatego wciąż się w nim gubiliśmy. Wieczorem wypływaliśmy na wycieczki na wodę i oglądaliśmy piękny zachód słońca. Pewnego dnia wypłynęliśmy na środek jeziora, twój tata spojrział mi w oczy i powiedział...

- ... że od teraz wszystko się zmieni - dokończyłam za nią zdanie.

Mama pokiwała głową, jakby trochę zaskoczona, że odgadłam jego słowa. Finalnie jednak wzruszyła beztrząsoma rękami i uśmiechnęła się szeroko na wspomnienie snu. Chciało mi się trochę śmiać, bo zapewne pomyślała, że jej córka jest jasnowiedzką czy czymś w tym stylu. Pozwoliłam jej zresztą tak myśleć, bo było to dużo łatwiejsze, niż powiedzenie jej prawdy o tym, że alkohol, który nieustannie płynie w jej żyłach, zniszczył już tyle szarych komórek, że nie pamiętała, iż miała ten sen niemal codziennie i opowiadała mi o nim każdego dnia, jakby miała go pierwszy raz.

Wzięłam ostatniego gryza kanapki i spojrzałam na zdjęcie ojca w łódce, które wciąż wisiało przypięte do lodówki. Trzymał w dłoniach ogromnego karpia i uśmiechnięty chwalił się nim przed obiektywem aparatu. I, choć większość osób poczułaby na ten widok smutek, tudzież tęsknotę, ja wyrobiłam w sobie do niego pewien rodzaj nienawiści, który, jak się domyślałam, miał mi pomagać radzić sobie z rzeczywistością.

Nie chodziło bynajmniej o to, jakie życie prowadził mój ojciec przed śmiercią, bo był wspaniałym człowiekiem o złym sercu, ale o to, co stało się z naszym życiem po jego śmierci. Straciłam nie tylko ojca, ale też: dom, na który nie było nas dłużej stać; oszczędności, które pochłonął jego pogrzeb; przyjaciół po wyprowadzce; i co najważniejsze – mamę, która wpadła w ciężkie sidła depresji, alkoholu i ogromnej niemocy.

Mechanizm znienawidzenia ojca, który w sobie wytworzyłam zamiast żalobnego smutku, pomógł mi z łatwością obwinąć nieboszczyka za moje wszystkie cierpienia. Był o tyle sprytny, że opierał się na obarczaniu winą osoby, która nie mogła się bronić, bo leżała przecież kilka metrów pod ziemią. Mimo wątpliwej moralności tej metody działała ona znakomicie, bo pozwalała mi dalej żyć z wiarą, że mama nie jest niczemu winna i po prostu miała ogromnego pecha, wobec czego jestem zmuszona jej pomagać, bo ode mnie zależy, czy w końcu stanie na nogi. Takie poczucie misji było wysoce obciążające, ale skutecznie pchało mnie do przodu, a takie nieustanne parcie przed siebie było obecnie wszystkim, czego potrzebowałam.

Może niektórzy poeci czy wielcy pisarze uznaliby, że historia moich rodziców oprócz tego, że jest smutna, jest też niezwykle romantyczna. Dwoje kochanków, z których jedno ginie, a drugie szaleje z rozpacz i traci umysł, to przecież znany motyw pisarski, pojawiający się już za czasów średniowiecza. Sama zresztą, wychowana na *Romeo i Julii*, *Dziejach Tristana i Izoldy* czy choćby *Antygonie*, nie mogłam udawać, że nie było nic podniosłego w tym, że choć od śmierci ojca minęło dobrych kilka lat, mama wciąż się po niej nie podniosła.

Prawdziwe życie boleśnie i kilkakrotnie udowodniło mi jednak, że nie jest ani tragiczną historią miłosną, ani antycznym dramatem, ani nawet kilkusezonową meksykańską

telenowelą. Otóż prawdziwe życie przypomina co najwyżej sztukę Becketta – jest głupim żartem, zwykłą farsą, w której bohaterowie zabijają czas, czekając na tajemniczą przyszłość, i nim się zorientują, kurtyna opada, kończąc przedstawienie w najmniej oczekiwanym momencie.

Włożyłam długi płaszcz, odziedziczony po babci, i ostatni raz spojrziałam na mamę, która na szczęście zdołała ponownie zasnąć. Chwyciłam za rogi polarowego koca i okryłam nim jej wątłe ciało. Miałam zamiar przez resztę dnia ludzię się, że kawałek materiału ją ogrzeje. Wyszłam z domu i ruszyłam w kierunku szkoły.



– Czas na sprawdzenie waszej wiedzy z układu krążenia – pan Braun krążył po sali, wodząc wzrokiem za potencjalną ofiarą, którą mógł zaatakować pytaniem.

Odpytywanie przez Brauna na pierwszej lekcji po wakacjach było surowe, nawet jak na niego. Nie było jednak niespodzianką. Braun zapowiedział głośno i wyraźnie na ostatnich zajęciach przed przerwą, że będzie nas przepytawał z dwóch grubaśnych tomów o układzie krążenia, których przeczytanie zlecił nam na wakacje.

Pan Braun był szczupłym mężczyzną o pociągłej twarzy, słynącym z tego, że nigdy się nie uśmiechał. Jedna z plotek głosiła, że dawno temu jeden z nauczycieli wyznaczył nagrodę dla tego ucznia, któremu uda się go rozśmieszyć, i mimo że od tamtego wydarzenia minęła dekada, nikomu nie udało się jej zdobyć.

Jego metody pedagogiczne były co najmniej wątpliwe, ale z drugiej strony – był znanym naukowcem i uczył nas biologii na poziomie zaawansowanym. Osobiście jako licealistka, ale też przyszła studentka medycyny, odczuwałam pewną satysfakcję z tego, że traktował nas jak równych sobie.

Sala wypełniła się ciszą i mogłabym przysiąc, że w momencie, gdy jego wzrok w końcu padł na mnie, reszta klasy odetchnęła z ulgą. Głupio mi to przyznać, ale... ja też nie byłam z tego powodu zasmucona.

Jeśli mam być zupełnie szczerą, po cichu liczyłam na to, że Braun wybierze akurat mnie. Wakacje spędzone głównie na nauce i wczorajsze powtórki do czwartej nad ranem sprawiły, że czułam się pewnie w kwestiach układu krążenia, a przetestowanie swojej wiedzy traktowałam raczej jako szansę niż złą passę.

– Jeden cykl pracy serca składa się ze skurczu przedsionków i następującym po nim skurczu komór. Podczas skurczów komór które dwie zastawki są otwarte?

To nie było trudne pytanie, takie zagadnienie pojawiło się już w pierwszym rozdziale zadanej przez niego lektury. Dlatego gdy tylko je usłyszałam, na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

– Zastawka pnia płucnego i aortalna – odpowiedziałam.

Cisza i delikatne skiniecie głową pana Brauna. To był dobry znak. Oznaczał, że odpowiedziałam na pytanie poprawnie, albo błąd, który popełniłam, był na tyle nieistotny, że mógł zaliczyć mi to pytanie.

– Wymień uproszczoną drogę erytrocytów z tętnicy wieńcowej do aorty.

Nie spodziewałam się, że zada mi kolejne pytanie, co zbiło mnie trochę z tropu, ale po krótkim namyśle wymieniłam po kolei elementy, które wchodzą w skład tej drogi. Zaczynając od tętnicy wieńcowej, przez układ żylny serca oraz krążenie płucne, aż do lewej komory i finalnie do aorty. Szybko i precyzyjnie podawałam nazwę każdego elementu, nie zrobiłam nawet przerwy na branie wdechu.

Na twarzy Brauna malowało się zadowolenie. Zapewne pomyślał, że szybkość i precyzję moich odpowiedzi można zawdzięczać jego metodom nauki. W rzeczywistości byłam

po prostu odosobnionym przypadkiem dziewczyny, która od dłuższego czasu planowała zmienić coś w swoim życiu. Niestety, zmiany wymagały planu i były kosztowne, a ja miałam jedynie dwa funty, papierek po gumie do żucia i żadnych perspektyw. Na szczęście już kilka lat temu zorientowałam się, że mam niezłą pamięć do biologii, a lekarze specjaliści nie skarżą się na brak środków do życia. Pozostało mi więc „tylko” pracować z tym, co miałam, i zrobić wszystko, żeby zmaksymalizować swoje szanse na sukces.

– Układ krwionośny jest zamknięty, jednak tlen dostaje się do układu przez płuca. Jak dokładnie wygląda i nazywa się ten proces? I pytanie bonusowe: jak to wygląda w przypadku dostawania się składników odżywczych do układu krwionośnego? – Braun zadał mi kolejne pytania.

Zawahałam się. Pytania obejmowały spory zakres i byłam pewna, że nawet studenci pierwszego roku medycyny mogliby nie znać na nie odpowiedzi.

– Tlen do krwiobiegu przedostaje się na zasadzie dyfuzji – zaczęłam powoli, od tego, czego byłam pewna, żeby dać sobie czas na ułożenie wiedzy. – Pęcherzyk płucny jest opleciony naczyniami włosowatymi, które są zbudowane z bardzo cienkiego śródbłonka, dlatego tlen, który jest wtłaczany przez ciśnienie tworzące się w płucach, tak łatwo do nich wnika. Z kolei składniki odżywcze trafiają do krwi z jelit głównie za pomocą transportu aktywnego, proszę pana.

– Dziękuję, panno Winter.

Usiadłam na miejscu i odetchnęłam z ulgą. Tymczasem na sali znów wszyscy zamarli, bo koniec dla mnie oznaczał początek dla kogoś innego.

– Panno Holmes – zwrócił się Braun w stronę siedzącej tuż obok mnie Lucy. – Elementy morfotyczne krwi, które mają kształt dwuwklęsłych krążków i nie zawierają jądra komórkowego. Są wytwarzane w szpiku kostnym i żyją

około stu dwudziestu dni. U kobiet jest ich zwykle mniej niż u mężczyzn. Jak się nazywają?

Lucy była drobną blondynką z dużym upodobaniem do obcisłych dżinsów, obcisłych koszulek i właściwie wszystkiego, co uwidaczniało krągłości i inne rzeczy, które kochali faceci. Oprócz tego była też moją najlepszą przyjaciółką.

Wyraźnie zbladła na dźwięk swojego nazwiska, zupełnie, jakby wspomniana krew odpłynęła jej z mózgu.

– Mógłby pan powtórzyć? – poprosiła głosem, którego ton z przerażenia zbliżył się do piskłęcego.

Lucy pochodziła ze zdrowej rodziny i nigdy nie musiała planować ucieczek czy zostania światowej sławy lekarzem jak ja. Myślę, że był to jeden z powodów, dla których zamiast zarywać noce na naukę do egzaminów, które przygotowywał dla nas Braun, po prostu się wysypiała. Pewnie uznacie, że z tego powodu ja, naczelna kujonka, nisko ją oceniam. Jest wręcz przeciwnie. Otóż bardzo jej zazdroścę. Pewnie gdybym to ja żyła w normalnej rodzinie i nie musiała każdego dnia martwić się o swoją przyszłość, nigdy nie miałabym takiej obsesji na punkcie sukcesu.

Ale, tak jak mówiłam, wszyscy pracujemy z tym, co mamy.

Braun powtórzył pytanie, a Lucy zaczęła udawać, że się zastanawia. Pytanie było podstawowe, to fakt, ale jeśli Lucy nie przeczytała choćby rozdziału książki, nie mogła znać na nie odpowiedzi.

Na szczęście, siedziałam stosunkowo blisko, więc w trakcie powtarzania przez Brauna treści pytania zdołałam napiśać na kartce prawidłową odpowiedź. Nie miałam jak podać jej bez wzbudzania podejrzeń, więc możliwie najdyskretniej wychyliłam ją do przodu. Na tyle daleko, żeby nie zauważył jej sokoli wzrok Brauna, ale na tyle blisko, żeby Lucy mogła ją z powodzeniem przeczytać.

– Ery... Ero... – Lucy próbowała rozczytać treść kartki.

Zauważyłam, że mruży oczy, co mogło znaczyć, że tego dnia zapomniała soczewek. Od urodzenia miała ogromną wadę wzroku, która zwyczajnie nie pozwalała jej na czytanie z tak dużej odległości.

- Erektocyty - wypaliła w końcu, a po sali przeszedł szmer śmiechu na dość oczywiste skojarzenie z męską erekcją.

- Nie, panno Holmes. - Braun zignorował wyraźne poruszenie. - Prawidłowa odpowiedź na to pytanie brzmi „erytrocyty” i może byłaby ją pani w stanie sobie przypomnieć, gdyby nie była tak bardzo skupiona na rozczytywaniu wypowiedzi przysuwanych przez pannę Winter.

Moja twarz momentalnie przybrała odcień purpury. Jak to w ogóle możliwe, że zdołał to zobaczyć? Skuliłam się na krześle, gdy Lucy posłała mi przepaszające spojrzenie.

- Skoro panna Holmes wspomniała o erekcji... - Braunowi wyraźnie podobała się żonglerka pytaniami. Tym razem stanął przy siedzącym w ostatniej ławce Henrym, który przez większość czasu wyglądał, jakby przysypiał. - W fazie usztywnienia prącia zatoki jamiste wypełniają się krwią i osiągają objętość dwadzieścia, a nawet trzydzieści razy większą niż w spoczynku. O jakiej ilości w spoczynku mowa?

Henry był wysokim, bladym chłopcem, który uwielbiał nosić długie czarne płaszcze. Chodziliśmy razem do klasy od wielu lat, ale nasz kontakt ograniczał się do krótkich „Cześć” czy „Jak się masz?”, w dodatku tylko wtedy, gdy przypadek chciał, że jako jedyni staliśmy pod salą w oczekiwaniu na zajęcia.

Zawsze uważałam, że najciekawszy w Henrym jest nie on sam, ale wszystko, co go otacza. Dla przykładu, jego ojciec był właścicielem Krvinosa, czyli firmy badającej krew, która zrewolucjonizowała rynek medyczny. Plotki, które wokół niego krążyły, również były bardzo wymyślne. Jedna z nich

mówiła na przykład, że mieszkał w nawiedzonym domu, gdzie setki lat wcześniej doszło do brutalnego morderstwa. Druga, że nadal nie rosną mu włosy pod pachami. Trzecia, że zawsze mdlał na widok krwi i pielęgniarka nauczyła się wzywać pogotowie, gdy tylko słyszała jego nazwisko. Nie byłam w stanie potwierdzić wiarygodności tych dwóch pierwszych, ale trzecia to najprawdziwsza prawda. Sama byłam świadkiem takiego wydarzenia w trzeciej klasie.

W każdym razie, nie licząc tej otoczki, sam Henry wydawał się raczej nudny albo na takiego się kreował. Nigdy nie robił nic kontrowersyjnego, rzadko odzywał się na zajęciach, a po szkole niemal od razu wracał do domu. Nic z tych rzeczy nie zmieniało jednak faktu, że trudno mi było na niego patrzeć, takiego kompletnie zbitego z tropu pytaniem Brauna.

– Sto? Tysiąc? – Henry zgadywał kolejne liczby, na co Braun kręcił z niezadowoleniem głową.

– Panno Winter, czy mogłaby pani przypomnieć panu Blackwellowi, ile to mililitrów? – przerwał mu nauczyciel.

Wszystkie oczy ponownie zwróciły się ku mnie. Nie odpowiedziałam od razu. Może i lubiłam sprawdzać swoją wiedzę, ale jeszcze bardziej lubiłam mieć znajomych, a tych łatwo było stracić, zachowując się jak pupilek nauczyciela.

– Osiem mililitrów w stanie spoczynku – powiedziałam bardzo cicho.

Gdyby nie grobowa cisza, zapewne nikt, włącznie z panem Braunem, by mnie nie usłyszał. Niemniej usłyszeli. Nauczyciel pokiwał głową. Dobra odpowiedź.

– To wielki wstyd, żeby kobieta wiedziała więcej na temat wypełnienia krwią zatok ciał jamistych niż pan, panie Blackwell – rzucił.

Nie wiedziałam, czy była to bardziej obelga skierowana w jego stronę, czy komplement w moją, ale w sali dało się słyszeć pojedyncze parsknięcia. Omal nie odetchnęłam z ulgą,

gdy po upokorzeniu Henry'ego Braun postanowił skończyć odpytywanie i przeszedł do prowadzenia zajęć.

Przez resztę czasu stał więc przy tablicy i rysował różne elementy morfotyczne, zadawał ćwiczenia oraz lektury na następne zajęcia. Pod koniec jednak zapowiedział coś, czego nie spodziewał się chyba nikt, łącznie z Henrym, którego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Na następne zajęcia w ramach podstaw interpretacji badań krwi zaprosiłem gościa. – Zrobił krótką pauzę. – Specjalnie dla was do naszej klasy przyjedzie doktor Blackwell, który jest poważanym specjalistą w zakresie testów laboratoryjnych z próbek krwi oraz założycielem firmy Krvinos. – Braun utkwiał wzrok w Henrym, który wyglądał, jakby żałował, że nie może stać się niewidzialny. – Doktor Blackwell jest też ojcem waszego kolegi z klasy, Henry'ego.

Jeśli mam być szczerą, kompletnie nie rozumiałam wtedy jego reakcji. Myślałam, że gdyby doktor Blackwell był moim ojcem, wypięłabym dumnie pierś i pokazała reszcie język, żeby zaznaczyć swoją wyższość. Byłam wtedy jednak nieco zaślepiona, jako że jego ojciec był moim idolem.

Jego firma Krvinos opatentowała i produkowała urządzenia, będące w stanie wykonać zestaw podstawowych badań krwi z zaledwie połowy próbki, która była wcześniej do tego potrzebna. Obecnie Krvinos sprzedawał urządzenia po niskich cenach, dzięki czemu polepszył się dostęp do opieki zdrowotnej dla zwykłych obywateli w całej Europie, a w przyszłości planował sprzedać technologię reszcie świata. Powiedzieć, że jego wynalazek absolutnie zrewolucjonizował świat badań, to jakby nie powiedzieć nic.

Można mylnie założyć, że z powodu ogromnego sukcesu firmy ojca Henry powinien być popularny. Byliśmy jednak w liceum, a dzieciaki w tym wieku ponad dobrą materialną czy nawet dobro ludzkości stawiały sobie znęcanie się nad innymi, szerzenie plotek i wykluczanie wyróżniających się

jednostek i trzeba było każdego dnia ciężko pracować, żeby nie znaleźć się przypadkiem po złej stronie muru. Henry, tak jak wcześniej wspominałam, był przykładem zupełnej bierności, dlatego stanął po złej stronie muru, nim ktokolwiek zaczął go budować.

Na wzmiankę pana Brauna o jego ojcu opuścił wzrok na blat biurka i udawał, że go nie słyszy. Jego obojętność była promieniująca i nie spodobała się Braunowi, który nie omieszkał rzucić w jego stronę uszczypliwego komentarza:

– Syn tak wspaniałego człowieka, a nie zna nawet funkcji własnego ciała. Weź się za siebie, Blackwell, bo nie skończysz roku.



Po zajęciach razem z Lucy stanęłyśmy przy swoich szafkach. Lucy szukała podręcznika do angielskiego pośród ton szminek, pudrów i pism modowych z powyrywanymi plakatami Harry’ego Styleasa, gdy ja opierałam się o ścianę i przeglądałam telefon.

– Wiesz, czasem mam wrażenie, że Braun nie chce nas niczego nauczyć i został nauczycielem tylko dlatego, że dręczenie sprawia mu przyjemność – powiedziała.

– Cóż – zaczęłam powoli – dziś rzeczywiście zachowywał się, jakby wstał lewą nogą.

– Jakby wstał lewą nogą? – Lucy spojrzała na mnie, jakbym palnęła głupotę. – Tak upokorzył Henry’ego, że na jego miejscu rzuciłabym szkołę.

– Braun zawsze był na niego cięty – zauważyłam. – Poza tym przez to, że jest taki surowy, mam większą motywację, żeby się uczyć.

– Ustalmy coś raz na zawsze – powiedziała Lucy. – Uczysz się, bo jesteś niesamowicie mądra i masz określony cel. Na pewno nie dlatego, że ten psychopata sieje terror na

zajęciach. – Nagle zamilkła na krótką chwilę. – Nie obracaj się teraz, ale Henry chyba idzie w naszą stronę.

Zabrakło mi silnej woli, żeby posłuchać jej polecenia, i od razu obejrzałam się za siebie. Lucy się nie pomyliła. Wysoka postać w czarnym płaszczu, która musiała być Henrym, zbliżała się niepewnym krokiem w naszą stronę. Czego mógł od nas chcieć?

– Cześć, Dakota. Lucy. – Chłopak stanął naprzeciwko nas w bezpiecznej odległości, po czym podrapał się po karku, jakby ze stresu. – Czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać? – zwrócił się bezpośrednio do mnie.

– To ja lecę na angielski – rzuciła Lucy i obrzuciła mnie spojrzeniem w stylu: „Później mi wszystko opowiesz”.

Odpowiedziałam jej wytrzeszczonym: „Nie zostawiaj mnie”, ale minęło zaledwie kilka sekund i Lucy zniknęła mi z pola widzenia.

– Co słyshać? – Uśmiechnęłam się niezręcznie do równie niezręcznie uśmiechającego się chłopaka.

– Masz może chwilę?

– Za dziesięć minut mam francuski – skłamałam.

Tak naprawdę moje kolejne zajęcia zaczynały się dopiero za pół godziny, ale wołałam zostawić sobie pole do ucieczki, gdyby rozmowa przekroczyła akceptowalny poziom niezręczności.

– To nie zajmie długo – odparł Henry.

– O co chodzi?

– Ja... Mój tata... To znaczy... – zawahał się na chwilę i wziął głęboki wdech. – Chodzi o to, że pilnie potrzebuję korepetycji z biologii. Braun ma rację. Jest duże prawdopodobieństwo, że uwalę semestr, a ty jesteś najmądrzejsza z klasy i...

Zdecydowałam się mu przerwać, nim zdążyłby zabrnąć dalej:

– Eee... To naprawdę miłe, że pomyślałeś właśnie o mnie, ale samej brakuje mi czasu na naukę, a co dopiero na pomoc innym. – Westchnęłam, udając, że mi przykro.

Twarz Henry'ego nie zmieniła wyrazu, jakby był przygotowany, że mu odmówię. Zaskoczyła mnie ta reakcja, a właściwie jej brak.

– Jeśli to wszystko...

Już miałam obrócić się na pięcie, gdy Henry musnął dłonią moje ramię, żeby mnie przed tym powstrzymać.

Wzdrygnęłam się, nie tylko dlatego, że się tego nie spodziewałam, ale też dlatego, że jego dłonie były strasznie zimne, zupełnie jakby oprócz problemów z nauką o układzie krążenia miał też problemy z samym krążeniem.

– Źle się wyraziłem – jego głos nabral pewności siebie. – Nie proszę cię o pomoc, ale o wykonanie usługi.

– Co masz na myśli?

– Zapłacę ci.

Spojrzałam na niego z ukosa, próbując nie wymierzyć mu liścia za to, że prosto w twarz sugerował mi, że moją jedyną motywacją były pieniądze.

– Powiedzmy, że mojemu ojcu bardzo zależy, żebym zdał z dobrymi wynikami, a ja nie mogę go zawieść – dodał.

Choć to, że kierowały mną jedynie pobudki finansowe, było oczywistą nieprawdą, nie zamierzałam przed sobą udawać, że mi na nich nie zależało. Po usłyszeniu jego propozycji materialistyczna część mnie nalegała, żeby opróżnić mu kieszenie, i przygotowywała już kolorowe wizualizacje przedstawiające ojca Henry'ego, który dowiaduje się, że wyniki w nauce jego jedyne go syna znacząco się poprawiły dzięki pomocy niezwykle zdolnej koleżanki z jego klasy, i w klasycznym geście wdzięczności oferuje jej staż w swojej firmie, albo lepiej – od razu stanowisko.

Obraz ten był, co prawda, mało realny, ale na tyle żywy w mojej głowie, że wystarczył, żebym zdławiła dumę i wysłuchała go do końca:

– Rozumiem, że potrzebujesz korepetycji, ale nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu poprosić o nie kogoś

z firmy ojca. Jestem pewna, że wiedza pierwszego lepszego pracownika Krvinosa przewyższa wszystko, co wiem – uważałam.

Zaskoczyłam tym Henry’ego, bo ściągnął brwi. Chyba nie spodziewał się, że po jego wzmiance o zapłacie będę mieć jakiegokolwiek obiekcje. W pierwszej chwili żałowałam, że od razu się nie zgodziłam, ale szybko zmieniłam zdanie. Wyraz jego twarzy był cenniejszy od każdego pieniądza tego świata.

– On... Ojciec... Nie wie, że mam problemy z nauką. I wolałbym, żeby tak zostało – wyjaśnił zakłopotany.

– No, nie wiem – poczułam się pewnie. – Potrzebuję trochę czasu, żeby się zastanowić.

Na twarzy Henry’ego pojawiła się desperacja.

– Proszę – jęknął. – Mój ojciec zna każdego w tym mieście, kto ma jakąkolwiek wiedzę na temat biologii. Jesteś moją jedyną opcją.

Nie powinien był tego mówić, bo te słowa dały mi ogromne pole do targowania się o kwotę, jaką miał mi zapłacić. Na szczęście syn milionera nie był na tyle sprytny, żeby to zauważyć – albo po prostu był zbyt bogaty.

– Hmm... Naprawdę nie mam czasu, ale rozumiem, że jesteś w trudnej sytuacji, więc... Niech będzie.

– Świetnie. – Twarz Henry’ego momentalnie się rozjaśniła. – Czy sto funtów za godzinę będzie w porządku?

Sto funtów? Oczy prawie wyskoczyły mi z orbit. Zaczęłam liczyć w pamięci, na co byłoby mnie stać, gdybym dawała mu korepetycje cztery razy w miesiącu do końca semestru. Mogłabym w końcu kupić sobie nowy płaszcz na zimę, bo ten od babci był już porządnie znoszony. Kupiłabym zestaw książek do anatomii, który był mi potrzebny do nauki, a nie było go w szkolnej bibliotece. Zaserwowałabym mamie porządny obiad, który składałby się z czegoś więcej niż z makaronu i sera. Zrobiłabym wszystkie te rzeczy i jeszcze

zostałoby mi pieniędzy na drobne przyjemności, jak pójście do kina czy do teatru.

Nie mogłam jednak nie ulec wrażeniu, że sposób, w jaki Henry zaproponował mi tę kwotę, sugerował, że nie była dla niego ogromnym wydatkiem. Materialistyczna część mnie, rozbudzona myślą o tych wszystkich udogodnieniach, po zapewnieniach, że byłam jedyną osobą mogącą mu pomóc, zrobiła się chciwa i kazała zaryzykować; sprawdzić, czy jestem w stanie wyciągnąć od niego więcej.

– Dwieście funtów – złożyłam kontrpropozycję.

Brzmiała pewnie, ale poczułam się jak naciągaczka i w moim żołądku pojawił się ciężar wyrzutów sumienia. Duma była silną rzeczą i zawsze w końcu wychodziła na wierzch, a ja nie powinnam była jej tak sztucznie tłamsić.

Henry na szczęście nie był zaskoczony moją próbą targowania się.

– Przypominam, że ojciec o niczym nie wie, więc kasa idzie z mojego portfela – rzucił kąśliwie, gdy na moich policzkach pojawiły się rumieńce wstydu.

Chciwość nie popłaca czy jak to szło...

– Sto pięćdziesiąt funtów to najwyższa kwota, jaką mogę zaoferować – zaproponował.

Udałam, że się zastanawiam, a potem udałam, że w końcu ugięłam się pod jego spojrzeniem.

– Niech będzie – powiedziałam.

Henry uśmiechnął się triumfalnie. Jeśli manipulacja była zła, czemu tak dobrze się po niej czułam?

– Do zobaczenia – dodałam po chwili ciszy, obróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę stołówki.

– Czekał! – zawołał Henry, gdy byłam już co najmniej trzy metry od niego. – Nie mam twojego numeru telefonu.

Ups.

– Rzeczywiście. – Zatrzymałam się.

Henry podał mi telefon i wpisałam mu swój numer, zapisując się pod nazwą: „Korepetytorka”.

– Teraz już „do zobaczenia”. – Henry skinął w moją stronę głową, poprawił na ramieniu skórzaną torbę i ruszył w przeciwnym kierunku.

Ja również długo nie zwlekałam i poszłam do stolówki, gdzie spodziewałam się znaleźć Lucy i zdać jej ze szczegółami relację z wydarzeń.

Moja przyjaciółka siedziała przy stoliku blisko okna w towarzystwie Paladyna, mniej znanego pod imieniem Jake, z którym to w ostatnich czasach spędzała niemal każdą wolną chwilę. Paladyn był w naszym wieku i przypominał bardziej chłopaka z klasy koszykarskiej niż informatycznej. Wyglądał w końcu jak stereotypowy sportowiec.

Miał prawie dwa metry wzrostu i zawsze, gdy go widziałam, wydawało mi się, że jego koszulka zaraz eksploduje od napiętych mięśni. Jego wygląd był szczerze mylący, jako że Paladyn był naprawdę niezłym informatykiem: wygrywał konkursy programowania, reprezentował naszą szkołę w zawodach i takie tam.

– Cześć – przywitałam się z nim i zwróciłam się do przyjaciółki: – Co słychać?

Paladyn zbil ze mną piątkę, ale Lucy zignorowała moje pytanie i od razu przeszła do przeprowadzania wywiadu:

– Jak tam z Henrym? Zaprosił cię na randkę? Na pewno zaprosił cię na randkę.

– Nie żartuj. – Przewróciłam oczami. – Poprosił mnie, żebym dawała mu korepetycje.

– Tak to się zaczyna – Lucy kontynuowała dokuczanie mi. – Najpierw korepetycje, potem ślub, dzieci, kredyt hipoteczny...

Rzuciłam jej wściekle spojrzenie. Wiedziałam, że nie mówi poważnie, ale nie byłam w nastroju na żarty. Chyba nadal dokuczał mi wstyd w związku z targowaniem się.

– Henry? – przerwał jej nagle Paladyn. – Ten chudzielec, co to zawsze chodzi w czarnych ubraniach i ma bogatego starego?

Paladyn miał wyjątkową zdolność podsumowywania ludzi w zaledwie jednym zdaniu. Automatycznie wyobraziłam sobie, co mógłby powiedzieć o mnie. Ta blondynka, która od kilku lat chodzi w jednym podziurawionym płaszczu i ma matkę alkoholicką? Prawdopodobnie.

– Dokładnie – potwierdziła Lucy, po czym ściszyła głos i ściągnęła tajemniczo brwi: – Spadkobierca Krvinosa.

– Musisz się zgodzić – stwierdził Paladyn. – Na pewno ma grubą portfel.

– Jeśli ty się nie zgodzisz, ja to zrobię – zaśmiała się Lucy. – Jestem pewna, że jego stawki za godzinę przewyższają te, które dostają w kawiarni.

Lucy od roku pracowała jako baristka w jedynej kawiarni w Windermore, Coffee Corner. Z tego, co opowiadała, nie była to trudna praca, bo, jak się okazało, mieszkańcy Windermore nie byli zbyt chętni do płacenia ponad ośmiu funtów za kawę, ale prawdopodobnie z tego samego powodu zarobki również nie powalały.

– Już się zgodziłam – przyznałam, po czym ściszyłam głos: – Sto pięćdziesiąt funtów za godzinę.

Lucy i Paladyn wybałuszyli oczy, po czym popatrzyli na siebie w szoku. Nic dziwnego, kwota była pokaźna. Byłabym idiotką, jeśli nie zgodziłabym się na takie warunki.

– Gratulacje – pisnęła Lucy i uścisnęła mnie z całych sił. – Świetne rozpoczęcie roku.

Pokiwałam głową, choć w głębi duszy wcale nie byłam co do tego przekonana. Miałam nieodparte poczucie, że to, co robię, jest nie w porządku. Że będę tego żałowała.

Lucy, widząc moją minę, dość szybko postanowiła zmienić temat:

- Mama robi dziś swoją słynną pierś po parysku. Wpadniesz?

- Dziś mam w planach pouczyć się do egzaminów - odparłam prędko. - Może następnym razem.

W rzeczywistości wcale nie miałam w planach się uczyć. Prawda była dużo bardziej przyziemna - zwyczajnie głupio mi było iść na obiad do Lucy piąty dzień z rzędu.

To nie tak, że nie potrafiłam docenić tego, że gdy moja mama przechodziła przez kolejny trudny okres, Lucy i jej rodzina chcieli mi pomóc.

Rzecz w tym, że gdy ktoś wciąż oferuje ci bezinteresowną pomoc, a ty ją przyjmujesz i nie jesteś w stanie dać od siebie nic w zamian, w końcu zaczynasz stawać się dłużnikiem.

Byłam na tyle rozsądna, że rozumiałam, że ani Lucy, ani jej rodzina nie widzieli we mnie dłużniczki ani na pewno nie liczyli na palcach, ile zjadłam u nich zup czy porcji ziemniaków. A jednak każdy, kto był w podobnej sytuacji życiowej co ja, rozumie, że rozsądek był niczym przy narastającym uczuciu porażki, któremu towarzyszył ból brzucha spowodowany nie głodem, ale wrażeniem, że jest się dla kogoś ciężarem.

Nienawidziłam tego uczucia i wołałam żyć na suchym chlebie, niż je czuć.

- Pouczysz się wieczorem - jęknęła Lucy. - Musisz przyjść na obiad, bo się obrazi. Wiesz, jaka jest, gdy ktoś jej odmawia.

- Dzięki, ale naprawdę nie mogę.

- Przyjdziesz, i kropka. - Lucy nie zamierzała przegrać tej dyskusji.

- Kiedy naprawdę nie mogę...

Lucy była widocznie urażona moją kolejną próbą odmowy.

- Może o tym zapomniałaś, ale mój ojciec wraca dziś z zagranicy, a wiesz, jak mnie wkurza, gdy tylko zaczyna dyskutować ze mną o polityce - zastosowała inną strategię. -

Obiecałaś mi kiedyś, że nie zostawisz mnie w kryzysowej sytuacji, a to jest kryzysowa sytuacja i obrażę się, jeśli okaże się, że mnie okłamałaś. Poza tym, jeśli nie będzie cię obok, żeby mnie uspokoić, istnieje ryzyko, że rozszarpię go na strzępy.

– Jestem pewna, że sobie poradzisz.

– Mówię poważnie, Dakoto. Twoja obecność to jedyna gwarancja jego bezpieczeństwa.

Westchnęłam głęboko. Odmówienie jej nie było takie łatwe, jak zakładałam.

– Nic, co powiem, nie sprawi, że odpuścisz, prawda? – zapytałam.

Lucy przytaknęła pewnie głową.

– Zaciągnę cię na ten obiad siłą, jeśli będzie trzeba.

Wiedziałałam, że była szczerą. Zależało jej na moim towarzystwie, nie udawała. Może dlatego w końcu odpuściłam.

– Niech będzie – zgodziłam się. – Ale jeśli nie pójdzie mi na egzaminach, to przez ciebie.

Lucy pisnęła ze szczęścia, przytulając mnie i powtarzając swoim cienkim głosem:

– Dzięki, dzięki, dzięki!



Windermore było małym miasteczkiem, otoczonymi licznymi wzgórzami i z jeziorem w pobliżu. Dom Lucy znajdował się niedaleko szkoły, więc wybrałyśmy się do niej pieszo. Pogoda tego dnia była wietrzna i mglista, ale widoki wszystko rekompensowały. Po obu stronach drogi rosły wysokie drzewa, których korony powoli zaczynały zmieniać barwy. Liście topól przybierały żółte, pomarańczowe i czerwone odcienie i tylko jeden stary dąb jeszcze mocno trzymał się zieleni.

Lucy nadawała tempo naszemu spacerowi i co było do niej niepodobne, szła bardzo wolno, co chwilę zatrzymując się,

żeby zawiązać buty, poprawić płaszcz czy cokolwiek innego. Zwykle niecierpliwa, teraz robiła wszystko, żeby droga do domu zajęła nam dłużej, niż powinna.

– Co jest, Lucy? – Stałam w miejscu. – Aż tak nie chcesz zobaczyć swojego ojca?

Lucy również się zatrzymała. Westchnęła przeciągle i nie odpowiedziała od razu.

– Nie o to chodzi – jęknęła z lekka zawstydzona.

Spojrzałam na nią w oczekiwaniu na rozwinięcie.

– Paladyn chciał przyjść na dzisiejszy obiad, żeby poznać moich rodziców – wydusiła z siebie w końcu.

– I co w związku z tym? – Chyba nie rozumiałam problemu.

– Oczywiście zabroniłam mu – powiedziała Lucy, jakby to było oczywiste. – Właściwie to nie wiem, co mu strzeliło z tym obiadem do głowy. Spotykamy się codziennie od początku roku, on przez ten czas ani razu nie zaprosił mnie na randkę, a teraz nagle chce spotykać się z moimi rodzicami? – Pokręciła głową. – A jeśli zapytają mnie, kim dla mnie jest, to co niby mam odpowiedzieć? – kontynuowała. – „Sama nie wiem, mamo”? „Owszem, Paladyn i ja całujemy się w męskim kiblu na każdej dłuższej przerwie, ale on wciąż nie może się zdecydować, czy woli, żebyśmy zostali przyjaciółmi, czy parą”?

Smutno mi było na nią patrzeć, gdy frustracja wylewała się z niej litrami, a ja miałam związane ręce. Jeszcze niedawno upewniała mnie, że podoba jej się układ, w jakim są, ale fakty były zgoła inne.

Wcześniej miałam co do tego wątpliwości, bo Lucy potrafiła być świetną aktorką, ale po jej wybuchu złości jasne stało się dla mnie, że zależało jej na Paladynie jak na nikim wcześniej i musiała poświęcać dużo energii, żeby udawać przede mną, przed sobą i przed nim, że wcale tak nie było.

– Wybacz, że podniosłam głos – przeprosiła mnie. – Chyba po prostu jestem już zmęczona i chciałabym wiedzieć, na czym stoję.

– Rozmawiałaś z nim o tym? – zapytałam delikatnie.

Lucy pokręciła stanowczo głową.

– Wolalabym, żeby to on zaczął temat, w końcu to on jest chłopakiem – podkreśliła i nim zdążyłabym coś powiedzieć, dodała: – Tak, tak. Wiem, co myślisz. Że to staroświeckie i że kobiety też mogą robić pierwszy krok, i tak dalej. – Spuściła głowę. – Może i mogą, ale ja... Ja chyba nie potrafię.

Spojrzałam na nią z odrobiną politowania. Kochałam swoją przyjaciółkę, ale czasem nie mogłam uwierzyć, jak bardzo ślepa była na pewne rzeczy – i tym razem nie mogłam winić za to jej słabego wzroku. Jej punkt widzenia tym bardziej się zawężał, im o bliższe osoby chodziło.

– Oj, Lucy. – Mój pobłażliwy ton zwrócił jej uwagę. – Pamiętasz, gdy pojechaliśmy w trójkę do wesołego miasteczka: ja, ty i Paladyn? On chciał iść do gabinetu luster, ale wiedział, że ty ich nienawidzisz, więc nie zaproponował tego. Pewnie nigdy byśmy do niego nie weszli, gdyby nie to, że w pewnym momencie stanęłaś naprzeciwko gabinetu i stwierdziłaś, że masz ochotę wejść do środka. Dopiero wtedy Paladyn odważył się powiedzieć, że on też chętnie by poszedł.

– Świetna historia, ale co ma wspólnego z tym, o czym ci mówiłam? – jęknęła Lucy.

– Paladyn zawsze najpierw czeka na twój ruch i dopiero potem robi swój – wyjaśniłam. – Jestem pewna, że ma swoje zdanie na ten temat i po prostu czeka, aż ty zaczniesz.

Lucy nie była w pełni przekonana do mojego tłumaczenia. Temat był zbyt skomplikowany i ciągnął się przez zbyt wiele miesięcy, żeby kilka moich słów mogło rozwiązać problem. Podziękowała mi jednak za wsparcie i gdy znalazłyśmy się przed jej domem, dodała, że prawdopodobnie mam rację.

Weszliśmy na podwórko i ledwo nasze stopy dotknęły schodów, a drzwi otworzyły się na oścież i mama Lucy stała w progu. Pani Holmes była niską kobietą o czerwonych jak mak policzkach i wyjątkowo miłym usposobieniu. Na sukience w kwiaty miała ubrudzony mąką fartuch, a w rękach trzymała miskę z parującym sosem i mieszała go energicznie. Na nasz widok na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Chodźcie szybciej, bo mięso stygnie – powiedziała i zaprowadziła nas do salonu. – Jak było w szkole?

Zdjęliśmy płaszcze i położyliśmy torby pod stołem kuchennym. Usiadłam na krześle i poczułam, jak ogarnia mnie przyjemne uczucie ciepła. W domu Lucy zawsze było napolone w piecu i z piekarnika pachniało dobrym jedzeniem.

– Nic ciekawego, mamó. – Lucy wzruszyła ramionami i sięgnęła po leżącą na stole czekoladkę.

– Nie jedz słodkiego przed obiadem – skarciła ją mama. – Stracisz ochotę na pierś.

– Nie stracę – obiecała Lucy. – Tata już przyjechał?

– Tak – potwierdziła jej mama. – Rozpakowuje rzeczy.

Jak na zawołanie tata Lucy wyszedł z głębi salonu i ruszył w stronę kuchni. Stał w progu i uśmiechnął się na widok swojej córki. Lucy wstała, gdy rozłożył ramiona, żeby ją uścisnąć, i zrobiła naburmuszoną minę, ale on powiedział coś w stylu: „Na gniewanie się czas przyjdzie później”, więc w końcu odpuściła i padła w jego ramiona.

Wkrótce wszyscy siedzieliśmy już przy stole kuchennym nad gorącą pierśią przygotowaną przez panią Holmes i rozmawialiśmy o bieżących wydarzeniach w Windermore oraz na świecie.

Nagle mama Lucy wstała z krzesła i zastukała łyżeczką w kieliszek, zwracając na siebie uwagę reszty domowników.

– Zanim zaczniemy obiad... Ptaszki mi wyćwierkały, że ktoś ma dziś urodziny. – Dotknęła mojego ramienia. – Wszystkiego najlepszego, Dakoto!

Lucy obdarzyła mnie spojrzeniem w stylu: „Chyba nie myślałaś, że zapomnimy”, a ja miałam wrażenie, że zaraz zapadnę się pod ziemię. Mówiłam już, że nienawidzę swoich urodzin?

– Dziękuję – odchrząknęłam.

– Nie codziennie kończy się siedemnaście lat. – Pani Holmes miała w sobie tyle zawziętości co jej córka. – Z tej okazji przygotowaliśmy dla ciebie małą niespodziankę!

Lucy otworzyła lodówkę i wyjęła z niej miniaturowy torcik udekorowany bitą śmietaną, z ręcznie wylukrowanym napisem „Najlepszego, Dakoto”. Tuż obok wciśnięto w niego kilka świeczek, które pani Holmes podpaliła zapalniczką. Światełka zaczęły migotać mi przed oczami, gdy próbowałam ukryć wzruszenie.

– Dziękuję bardzo, ale n-niepotrzebnie robiła sobie pani kłopot.

Zawstydzona zapadłam się w krzesło. Nie chciałam wyjść na niemłą, ale nie byłam przyzwyczajona do tak szczodrych gestów i nie bardzo wiedziałam, jak powinnam zareagować.

– Kłopot? Pomyślałby kto, że po skończeniu siedemnastu lat człowiek robi się mądrzejszy i nie gada już takich głupot! – Mama Lucy machnęła ręką.

Lucy przysunęła tort bliżej mnie, żebym mogła zdmuchnąć świeczki. Złożyłam usta w dzióbek i przybliżyłam je do ognia.

„Oby ten rok w końcu coś zmienił”, zażyczyłam sobie i wypuściłam powietrze.

– Czas na prezenty. – Mama Lucy chwyciła dwa błyszczące opakowania leżące na kominku. – Śmiało.

Moje zawstydzenie osiągnęło apogeum. Nie zrobiłam niczego, czym zasłużyłabym sobie na prezent z ich strony, a już tym bardziej dwa. Jak w amoku podziękowałam każdemu z osobna i powoli zaczęłam odpakowywać pierwszy z nich.

Otworzyłam opakowanie i zobaczyłam oprawę podręcznika do anatomii. Przesunęłam dłonią po grubym materiale i wytłaczanym złotymi nitkami tytule. To nie było zwykłe wydanie, ale kolekcjonerskie. Brakło mi słów.

– Nie wiem, co powiedzieć... – Głos mi zadrżał. – To musiało kosztować fortunę...

– Mieliśmy odłożone kilka zaskórniaków – odparła mama Lucy. – Otwórz.

Delikatnie otworzyłam tom na pierwszej stronie, na której czarnym piórem wypisane były życzenia od całej rodziny:

„Wszystkiego najlepszego, Dakoto. Mamy nadzieję, że ta książka przybliży Cię do spełnienia marzenia o zostaniu lekarką. Jesteśmy z Ciebie niezwykle dumni, Hermina i Louis Holmesowie”.

Te trzy zdania sprawiły, że się rozplakałam.

– Jejku, przepraszam – powiedziałam, wydmuchując nos. – Nie planowałam się rozkleić.

– W porządku. – Mama Lucy poklepała mnie po plecach. – Cieszę się, że prezent ci się spodobał.

– Teraz mój. – Lucy podsunęła mi pod nos kolejną paczkę. – Nie ociągaj się.

Ostatni raz przetarłam oczy i zdjęłam błyszczącą folię. W środku znalazłam kawałek różowego materiału. Lucy kupiła mi sukienkę wieczorową, którą widziałam kilka dni wcześniej w galerii handlowej i która tak bardzo mi się podobała – i na którą, zgadliście, nie miałam pieniędzy. Wyglądziłam ją rękoma.

– Teraz będziesz nie tylko mądra, ale też zajebicie ubrana. – Lucy klepnęła mnie w ramię.

– Lucy, język! – skarciła ją mama.

Znów brakło mi słów, więc po prostu przyciągnęłam do siebie przyjaciółkę i obdarzyłam niedźwiedzim uściskiem.

– Dziękuję – zwróciłam się do wszystkich całkowicie szczerze – to najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił.

Po tych słowach powoli wróciliśmy do niezobowiązujących rozmów i konsumowania piersi przygotowanej przez mamę Lucy. Atmosfera była ciepła i rodzinna nawet mimo nieuniknionych sprzeczek na temat polityki pomiędzy Lucy a jej ojcem czy docinków o wadze, które co jakiś czas rzucała pani Holmes swojemu mężowi.

– A jak twoja mama? – zapytała mnie w pewnym momencie pani Holmes. – Polepsza jej się?

Nie było w jej głosie uszczypliwości, jedynie czysta troska.

– Jest lepiej – odpowiedziałam.

Oczywiście, było to zwykle kłamstwo. Jednak już od lat przyjęło się, że z wrodzonej grzeczności pytała mnie o stan mamy, natomiast ja, nie chcąc dokładać jej zmartwień, odpowiadałam, że jest lepszy, niezależnie od prawdy. Może mój brak szczerości nie był w porządku w stosunku do pani Holmes, ale taki układ działał i miał się dobrze, więc nie zamierzałam się tym przejmować.

– Może kiedyś wpadnie do nas na obiad – powiedziała pani Holmes. – Przekaż jej koniecznie, że nasze drzwi są dla niej zawsze otwarte.

– Przekażę – podziękowałam, dobrze wiedząc, że ten dzień raczej nigdy nie nadejdzie.

Po powrocie od państwa Holmesów zamknęłam się w swoim pokoju i ponownie otworzyłam sprezentowaną mi książkę. Przeczytałam wpis na pierwszej stronie i płakałam przez niego praktycznie cały wieczór, po czym obiecałam sobie w myślach, że zrobię wszystko, żeby ich nie zawieść.